



Wychodzi we
Lwowie z końcem
każdego miesiąca.
Wkładka roczna
z prenumeratą
wynosi 2 k. 40 h.
Dla nauczycieli
Tow. i uczniów
tylko 1 k. 40 h.
z przesyłką
1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK

galicyjskiego

TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt.

Administracyjna
i ekspedycja
we Lwowie pl.
Bernardyński 7.
dokąd wszystkie
pisma — zaś
wkładki i prenu-
meraty adreso-
wać należy:
Adolf Mussil ul.
Kar. Ludwika 7-

REDAKTOR: DR. JÓZEF LIMBACH.

Protokół

XXVI. Walnego Zgromadzenia gal. Towarzystwa ochrony zwierząt, które odbyło we wiedniu 31. maja b. r. pod przewodnictwem Wiel. Pana Aleksandra Marescha, c. k. dyrektora poczt i telegrafów

Obecnym członków 18.

P. Maresch. W nieobecności pana prezesa Pławickiego zagajając XXVI. Walne Zgromadzenie, witam Szanownych członków i dziękuję za przybycie na to Zgromadzenie. Z kilkuset członków miejscowych zaledwie garstka zjawiła się tutaj. Nie jest to objaw pocieszający, świadczy to o małym zainteresowaniu się naszymi sprawami, świadczy, że idea nasza nie wsiąkła w społeczeństwo. Gdzieindziej, poza granicami naszego kraju jest inaczej, tam wysoko położone osoby biorą żywy udział w pracach towarzystwa, które członków liczy na tysiące.

Nie wielu jest u nas gorliwych, ale i ci nieraz są narażeni na wielkie nieprzyjemności ze strony publiczności, która zamiast pomagać członkom, staje bardzo często po stronie dręczycieli. Jesteśmy towarzystwem humanitarnym, dobro ogółu mamy na

celu, mamy prawo za sobą, ale większość tego prawa nie szanuje, katować konie nie wolno, a czyż możemy przejść przez ulice Lwowa, byśmy nie słyszeli nielitościwych razów, które padają na grzbiety końskie, a koń przecież pracuje, utrzymuje, swego właściciela, a za to jaka podzięką? Najlepszy przyjaciel człowieka, pies, cóż on ma dobrego we Lwowie? Obawa przed wściekłą nakładą mu dręczący kaganiec, a mimo tego wściekliczna coraz częściej wybucha, najlepszy dowód, że to środek zły — a my więc w obee tego nic zrobić nie możemy, większość jest przekonana o dobroci kagańca — akademія weterynaryi nie może wyrzec ostatniego słowa w tym względzie — a biedne psy cierpieć muszą.

Takich przykładów wieleby przytoczyć można, ale zostawmy je na boku, pocieszając się myślą, że przyszłość dla nas lepszą będzie.

Otwieram XXVI. Walne Zgromadzenie i proszę pana Sekretarza o odczytanie protokołu ostatniego Wal. Zgromadzenia.

P. Mussil. Proszę o głos. Ponieważ protokół, który ma być teraz przeczytany, był w Miesięczniku drukowanym, stawiam wniosek o uwolnienie p. sekretarza od czytania tego.

Przyjęto.

P. Maresch. Przystępujemy do następnego punktu posiedzenia t. j. do sprawozdania sekretarza.

P. Dr. Limbach ma głos.

Sekretarz: Mając tego roku złożyć sprawozdanie z czynności wydziału, mogę ograniczyć się ściśle do roku bieżącego, ponieważ tak z ust czcigodnego p. rady Chołodeckiego, jak z mego sprawozdania tamtego roku, jako roku jubileuszowego, nabraliście Szanowni Panowie dokładnego wyobrażenia o naszych celach i naszej działalności.

Rozpoczynając nowe ćwierć wieku, rozpoczęliśmy je z dobrą otuchą na przyszłość, ufni, że prędzej, czy później cel nasz osiągniemy, nie ten cel idealny, że żadnemu zwierzęciu nigdy przez nikogo krzywda wyrządzona nie zostanie, do którego bardzo, a bardzo daleko, nie tylko u nas ale i wszędzie ale ten cel bliższy, łatwiej do osiągnięcia, by większa część społeczeństwa odczuwała potrzebę naszego istnienia i nam była pomocną.

Liczba członków naszych nie zwiększa się wprawdzie, ale też i nie maleje, ubytek przez śmierć nieubłaganą lub też przez obojętność wynagradzają nowi członkowie. Nowa filia utworzyła

się w Krośnie a założone dawniej istnieją dalej, a osobliwie trzy najmłodsze t. j. Krosno, Drohobycz i Jasło najwięcej są ru-
enliwe.

Wydział nasz schodził się na częste posiedzenia pod prze-
wodnictwem pp. Pławickiego, Marescha, lub Królikowskiego. Tam
załatwialiśmy bieżące sprawy i omawialiśmy obszernie wnioski
nowe, dążące do poprawy stosunków.

Żywo zakrzętnął się wydział około spraw naszych. Jeżeli
który z Panów pilnie czytywał nasz Miesięcznik, to mógł się
przekonać, że akcyja rozwinięta przez nas tego roku, dążyła stale
do poprawy złego.

Chów koni jest u nas jeszcze na bardzo nędznej stopie.
Konie za młode użyte do roboty, prędko tracą swe siły, nę-
dznieją, a to w dalszym ciągu staje się nieustanną przyczyną
dręczeń. Mając to na względzie postanowił wydział zwrócić się
do kółek rolniczych, by te jako najwięcej mające styczności
z naszym ludeu, pouczyły go w tym względzie i w swoim orga-
nie odpowiednie artykuły umieszczały; dalej w tej samej kwestyi
zwróciliśmy się do Rady szkolnej krajowej. W jednym ostatnich
numerów Miesięcznika, mieliście Panowie okólnik Rady Szkolnej
wystosowany do nauczycieli wszystkich, w którym ono zwraca
uwagę ich na nasze cele i żądania.

Że wyścigi nie odpowiadają teraz swemu celowi, to każdy
z nas jest o tem najmocniej przekonany. Przed niedawnem cza-
sem wystąpił z ich potępieniem śmiało Dr. Ochorowicz, a świeżo
znów wzięto polemikę w tym względzie na tle jego broszury.

Wydział sądził, że słuszną rzeczą będzie przesłać Dr. Och-
rowiczowi podziękowanie za to śmiałe wystąpienie. Broszurę,
traktującą fizyologię wyścigów przestaną nam przez autora, roz-
poczęliśmy właśnie w Miesięczniku drukować.

Są to wprawdzie dopiero pierwsze strzały, ale przyjdzie
czas, że społeczeństwo pozna się na wartości wyścigów i przejdzie
nad nimi do porządku dziennego.

Nie zapomnieliśmy także i o dorożkarskich koniach, z któ-
rych większa część, to paradye koni, a nie zwierzęta zaprzę-
gowe. W swoim czasie upomnieliśmy się w Dyrekcyi Policyi,
o przestrzeganie nakrywania koni zimową porą, o ocyle w czasie
gołolodzi, o usuwanie nocnych koni, tych istnych szkieleców ży-
wych. Gdzieśmy mogli, staraliśmy się kłaść tamę dręczeniom
koni przy budowlach, lecz tu o tyle trudniejsza sprawa, że pod

ręką policyanta niema i winowajca niechodzą kary; tylko w więcej na jednym miejscu wydarzających się wypadkach można było spowodować ukaranie przedsiębiorcy jak np. przy ulicy Hoffmana Opata, gdzie ściągnięto policyjnie karę 10 K za dręczenie koni. Że często skarga zaniesiona wprost do właściciela osiąga skutek, dowodem fakt, że jeden parobek nawet ze służby wydaloný został, gdy właścicielowi o fakcie dręczeniu doniósł.

Spełniając uchwałę Walnego Zgromadzenia podaliśmy prośbę do Magistratu, by zechciał zastąpić wóz ratunkowy dla zwierząt wozem, skonstruowanym na wzór wiedeńskiego. Nie przesądzam, jak sprawa załatwioną zostanie, wiem prywatnie, że referent jest przychylnie usposobiony, ale jest więcej jak prawdopodobnem, że brak monety stanie na przeszkodzie temu.

Co znowu stoi na przeszkodzie, że jeszcze magistrat nie uchwalił regulaminu jazdy, a z nim i numerowanie wozów, tego nie wiemy, miejmy nadzieję, że w nowej Radzie, znajdzie się jakiś już nie miłośnik zwierząt, ale filantrop, któremu zależy będzie na tem, by ludzi na ulicach nie tratowano i przejeżdżano jak to niemal codzienie się zdarza, a który zainterpeluje o to magistrat.

Jedną z najważniejszych spraw, którą wydział do skutku przeprowadził jest wydanie kwestyonaryusza w sprawie dręczenia zwierząt w naszym kraju. Macie go panowie już w rękach.

Geneza jego jest następująca. Pan Radea Chołodecki, członek wydziału już od dłuższego czasu gorliwie zajmował się kwestyą zabijania starych koni. Jak odbywa się ono pod bokiem Lwowa na Zamarstynowie mieliście Szanowni Członkowie szczegółowo opisane w Miesięczniku. Chodziło o zbadanie, gdzie i jak w Galicyi proceder ten się odbywa. Otóż P. Chołodecki postawił wniosek o zbadanie tego; w ciągu szczegółowej dyskusyi wyłoniło się zdanie, że przy tej sposobności możnaby zbadać, jak stoi sprawa z ochroną zwierząt w całym kraju. I oto powstał kwestyonaryusz. Rozesłaliśmy go naszym członkom, potem otrzymali go członkowie towarzystwa chówu drobiu i królików, członkowie towarzystwa weterynaryjnego i nakoniec prenumeratory Niedzieli. Tak rozszedł się kwestyonaryusz w liczbie 3000 egzemplarzy, po całym kraju.

Czekamy na skutek, do dziś wróciło już przeszło 250 egz. wypełnionych nazad. Już z tych odpowiedzi nabrać można dobrego wyobrażenia o stosunkach nas obchodzących. Niektóre

z nich są nawet bardzo wyczerpujące i będą mogły być nawet w całej rozciągłości w Miesięczniku nmieszczone.

Smutny zaiste obraz odpowiedzi roztańczają przed nami. Choćby już nam nikt nie odpowiadał, to poznaliśmy już dotychczas 250 miejscowości w różnych stronach kraju leżących. Nawet z odpowiedzi wniesionych nie jedna skarga płynie do nas, niejedną boleść odczuć można u piszącego. Tylko w tych miejscowościach, gdzie pojęto kwestyonaryusz jako rzecz urzędową i urzędowo urząd gminy odpowiadał, tam tylko wszystko jest dobrze, i konie są rosłe i nikt żadnemu zwierzęciu krzywdy nie robi.

Mając tak obfity materiał będzie mógł wydział śmieiej w obec władz wystąpić, a opierając się na danych statystycznych, nie prosić, ale żądać naprawy złego.

Tutaj mam jeszcze kilkadziesiąt egz. do rozdania, może który z Panów zechce wziąć, by znajomym rozesać. Każda odpowiedź, to cegiełka do gmachu, gdzie sprawiedliwość nietylko dla ludzi ale i dla zwierząt panować będzie. Skończyłem.

P. Maresch. Otwieram dyskusyę nad sprawozdaniem. Ponieważ nikt głosu nie zabiera uważam sprawozdanie za przyjęte proszę Pana Skarbnika o złożenie sprawozdania ze stanu kasy.

P. Mussil składa następujące sprawozdanie.

Sprawozdanie kasowe za r. 1901.

P r z y c h ó d :

Pozostałość kasowa z r. 1900	31	79 kor.
Subwencya m. Lwowa 900/901	120	— "
Dary J. E. książę E. Sanguszko	100	"
" J. E. hr. A. Potocki	100	"
" W. p. prof. Gustawicz	220	— "
Zebraane przez czł. Wydziału na żywność dla ptaków	11	— "
Wkładki oddziałów	254	— "
" członków	595	— "
Razem	1233	31 kor.

R o z c h ó d :

Administr. Miesięcznika	166	80	kor.
Druk. Miesięcznika	626	84	"
Drukarnia conto dawnego długu (z przed 1893 r.)	80	—	"
Na żywność dla ptaków	100	—	"
Wydatki kanc. i Waln. jubil. Zgromdz.	72	36	"
Nagrody dla straży policyjnej	50	—	"
Woźny Towarz.	75	20	"
Pozostałość kasowa na r. 1902	62	11	"
			<hr/>
Razem	1233	31	kor.

Adolf Mussil.
Skarbnik.

P. Więckowski. Proszę o głos. Z ramienia komisji oświadczam, co następuje:

Sprawdzone na podstawie przedłożonych dokumentów ale-gatów uznajemy wszystkie pozycje rachunków na zgodne z powyższem zestawieniem.

Proszę o udzielenie p. skarbnikowi absolutorium.

Przyjęto.

Pan Rybowski. Na drzewach przy ulicy Osolińskich budowały wczesną wiosną kawki swe gniazda. Miło było patrzeć na ich gorliwą skrzętność i pilność. Idąc do szkoły, przystawałem codziennie kilka chwil, by zobaczyć, jak daleko postąpiły w swej pracy. A oto, co się dzieje. Ktoś wydał barbarzyński rozkaz zrzucenia. Przyszli pachołcy magistratu, pozzrucali gniazda a z nimi i wyklówające się młode. W oczach gawiedzi publicznej ginęły one — zaiste bardzo pouczający przykład dla młodego pokolenia. Kawki, to symbol zdrowia u naszego lndu, kto je niszczy, ten zabija w naszym ludzie i tak zaledwie tlejące uczucia ludzkości względem zwierząt.

P. Maresch. Zgadzam się zupełnie z poprzednim mowcą nawet gdyby to były wrony, które może niesłusznie za szkodniki uchodzą, to przecież w taki sposób nie należałoby ich usuwać. Jeżeli to ma koniecznie nastąpić, należy wcześniej zapobiegać, robieniu gniazd, a nie wtedy gdy już młode się wyklóły.

P. Chołodecki. To, co się stało, nie stało się proprio motu, ale publiczność sama dała impuls do tego, skarżąc się, że kawki hałasują i że zanieczyszczają chodniki, a nawet przechodzących. Osobliwie były skargi na ulicy Ossolińskich i tam wydał magistrat rozkaz usunięcia gniazd. Na Łyczakowie, gdzie taki sam fakt zaszedł, zarządziła usunięcie na własną rękę właścicielka drzew, na których się kawki rozgnieździły. Temu nie zaradzimy, publiczność pod tym względem nie stanie za nami. Stawiam więc wniosek:

W stosownym czasie prosić magistrat, żeby niszczenie gniazd przedsięwziął w czasie ich budowy, a nie gdy one już są w jajka zaopatrzone, lub co gorsza piskłęta już mają.

P. Maresch uzupełnia wniosek dodatkiem, by nareście robiono to wczesnym rankiem, lub późnym wieczorem.

Wniosek przyjęto.

P. Witowska pyta sekretarza, czy wie o fackie bezlitościwego łapania kotów w żelaza i strzelanie przez jakiegoś pana przy ulicy Zyplikiewicza l. 5.

Sekretarz odpowiada, że o fackie tym dowiedział się z gazet, doniósł o tem Policji, która prowadzi śledztwo, o wyniku doniesie w Miesięczniku ¹⁾.

Następują wybory:

Obrani zostali:

Prezes: Feliks Pławicki. Zastępcy prezesa: Maresch Aleksander. Królikowski Stanisław. Sekretarz: Dr. Limbach Józef. Zastępca sekretarza: Ciszewski Roman. Skarbnik: Mussil Adolf. Wydziałowi: Chołodecki Józef, Rybowski Mikołaj, Kreyser Oskar, Witowska Teresa, Pius Twardowski. Zastępcy wydziałowych: Deymówna Antonina, Kaszyński Walery, Smalawski Julian, hr. Jadwiga Kalinowska, p. Wojciechowska. Komisya szkontrująca: Chruszczewski Władysław, Więckowski Lubin.

Wyraziwszy podziękowanie sekretarzowi i skarbnikowi za pracę około dobra towarzystwa, zamknął przewodniczący Walne Zgromadzenie.

¹⁾ Dotyczący P. K. został ukarany grzywną 10 Koron.

Maresch.
zastępca prezesa.

Limbach.
sekretarz

Fizyologia wyścigów

w ich stosunku
do krajowej hodowli koni

przez

Dra Juliana Ochorowicza,
kandydata nauk przyrodniczych.

II.

Szybkość, siła i wytrzymałość.

W zeszłych wiekach wyścigi były próbą koni dobrych w ogóle: zaprzęgowych i wierzchowych, rycerskich i myśliwskich. Popis na wyścigach nie przeszkadzał im spełniać zwykłych przeznaczeń użytkowych. Dopiero w wieku XVIII-tym w Anglii wyścigi zaczęły się specjalizować jako odrębna instytucja, w części dla ulepszenia rasy, a w części i coraz to przeważnej, służąca celom gry hazardowej bogatych lordów. Dziś w towarzystwach wyścigowych ulepszenie rasy krajowej stoi na drugim planie, urządzenie widowisk jak najliczniej nawiedzanych na pierwszym, a w duchu ogólnej demokratyzacji wszystkich dziedzin, obok lordów, znawców i hodowców, przy okienku totalizatora stanął tłum, żądny zabawy i zysku, składający swoją daninę na cele... powiększenia liczby takichże widowisk.

W tym historycznym rozwoju trzeba uznać to, co było koniecznem, a mianowicie „wyosobnienie się hodowli wyścigowej od wszelkiej innej, jako nowej gałęzi przemyślu;“ ale krytykować to, co nie było koniecznem, mianowicie „przewagę w tej nowej gałęzi przemysłu celów gry nad celami kultury.

Specjalizacja miała swoje dobre strony: dała początek nowej rasie sztucznej, niewątpliwie pod wielu względami wyższej od dawnych ras miejscowych, a nawet od importowanej arabskiej, która się w angielską przerodziła. Przekonawszy się, że kilka koni wschodnich, sprowadzonych do Anglii w końcu XVII. i w początkach XVIII. wieku, siłą i rącznością przewyższało znacznie wszystkie miejscowe staro-angielskie, zaczęto ich wyłącznie używać do reprodukcji i wyłącznie ich potomstwem posilkować się na torach. W ten sposób powstał koń „pełnej krwi“, to zna-

czy po ojcu i po matce pochodzący od owych wyborowych wyścigowców, posiadający jeden przymiot: chyżości w biegu górujący nad wszystkimi innymi.

Dziedziczność, utrwalająca cechy nabyte, sprawiła, że konie pełnej krwi zapanowały bezwzględnie na torze. Dziś koń najlepszy, ale nie pochodzący w prostej linii od owych pierwszych wyścigów (a rodowody ich lepiej są znane, niż genealogie wielu rodzin arystokratycznych), nie bierze udziału w wyścigach.

Dlaczego? Bo nie ma szansy. Nawet konie półkrwi, to jest tylko po ojcu lub tylko po matce związane z angielskim rodowodem wyścigowym, rzadko się ukazują w szrankach, a zwycięstwa jednego z nich, dzięki indywidualnym przymiotom (u nas „Łowczy“, „Prezes“, „Polmodie“), należą na torze do osobliwości.

Pod wpływem owej sztucznej kultury, rasa wschodnia (przeważnie arabska), hodowana w Anglii dla celów wyścigowych, zmieniła się do niepoznania. Powiększył się wzrost, zady stały się podobne do charcich, wydłużył się korpus i szyja, kości porowate stały się zbitymi jak żelazo, rozrosły się mięśnie, pogłębiły się i zmocniły do szybkiego oddechu płuca, dojrzewanie przyspieszyło się, inteligencya zacieśniła się, powiększyła nerwowość, stłumił się instynkt naturalny, wzmożły kaprysy i ambicya, i cała energia konia streściła się w jednym hasle: paść a nie stanąć! Z dobrego, szlachetnego towarzysza człowieka, jakim był arab, koń pełnej krwi stał się nerwową maszyną do szybkich biegów, rywalem lokomotywy — nie ciągnącej pociągu.

Różnicy tej sztucznie wytworzonej rasy, od dawnej naturalnej, uplastyczni najlepiej następujące porównanie: biegnąc wyciągniętym galopem wyborowy koń arabski pokrywa w jednym skoku około 16 stóp terenu, angielski zaś przeszło 24. Obliczając na sekundy: ponieważ wyścigowiec pierwszej klasy przebiega wiorstę średnio w 1 minutę 11 sek., a wiorsta ma 500 sążni ros. (sążeń ros. = 7 stóp), wypada przeto, że wyścigowiec pierwszej klasy przebiega w 1 sekundzie około 50 stóp. Jest to szybkość naszych pociągów pospiesznych (50 wiorst na godzinę).

Z taką szybkością żaden koń niepełnej krwi współzawodniczyć nie może. Ale i wyścigowiec, który jeszcze w r. z. był najlepszym, jeżeli w tym roku nie był do wyścigów odpowiednio

trenowany, pozostanie w tyle za gorszemi. Jest to więc w najwyższym stopniu sztuczne wyśrubowanie jednego przymiotu, nie zaś wykazanie naturalnych zasobów konia.

A tymczasem przyroda nie darmo nie daje i zbyt forsowna kultura jednej zalety, musi się odbywać kosztem innych. Ponieważ zaś niepodobna jest ograniczać szybkość koni na wyścigach pozostaje tylko warunki gonitw zmienić w ten sposób, ażeby obok chyżości, i siła i wytrzymałość w grę wchodziły. Wtedy koń zwycięzca będzie rzeczywiście lepszym, nie tylko szybszym od innych i wyróżnienie go jako reproduktora może naprawdę oddać usługi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Lis mikita w bajce i wierzeniu ludowem u wschodnich Azyatów.

Przez

Prof. Bronisława Gustawicza.

(Ciąg dalszy),

Łaska „*huang-shu-lang*“, tj. żółty wilk szczerzy, odgrywa u ludu całkiem podobną rolę co lis, z tą tylko różnicą, że jest dobroduszniejszej natury. Łaska nagabnje i drażni więcej ludzi, niż im szkodzi, jest zatem koboltem w lepszem znaczeniu tego słowa. Chiński wieśniak łatwiej przeboli, że mu łaska wypije jaja kurze albo że zabija pilne kwoczki, aniżeli wieśniak nasz lub innej narodowości. Niejednokrotnie cieszy się on raczej z tego, — rozumie się samo przez się, jeżeli szkoda nie jest zbyt wielką, — niżby miał się smucić, a wtedy geniusz-łaska jest dla jego rodziny, życzliwy i będzie jej z pewnością przysparzał dóbr ziemskich, doczesnych.

Dziwnem się tylko wydaje, że do pentalogii wciągniono takie niepokazne zwierzę, jakim jest właśnie jeź, który nie jest obdarzony ani szczególniejszą inteligencją, ani też nie posiada wybitnych przymiotów. Podczas gdy lud umie opowiadać tysiączne historyjki o wężach i łasce, to rzadko kiedy słyszeć można baśń, w którejby jeź albo geniusz-jeź odgrywał jaką po-

ważniejszą rolę. Znaną mi jest następująca jedyna baśń chińska o jeżu.

Raz wieśniak chiński zobaczył w nocy w ogrodzie swoim jeża. Gdy ostrożnie przybliżył się do niego, widział najwyraźniej, że jeż modlił się do księżyca. Jeż bowiem siedział na tylnych nóżkach prosto i bił najwidoczniej pokłony „*pu-i*”.

„*Pai-i*” — jestto pełne uszanowania pozdrowienie, jakie winien jest syn rodzicom lub jakie należy się osobom starszym, jest ono zaszczytniejsze niż zwyczajne pozdrowienie, przy którym prawą pięść wciska się w lewą dłoń i w tem położeniu obie ręce podnosi się nieco ponad piersi i obniża, mówiąc słowa „*ching-la, ching-la*”, albo krócej „*ching*”. Przy pozdrowieniu „*pai-i*” należy w powyższy sposób złożone ręce podnieść kilkakrotnie aż do czoła i nazad spuścić.

Ten sposób pozdrawiania wyjaśnia nam dostatecznie owego jeża. Jeż bowiem, którego obserwował ów wieśniak, mył sobie tylko... przednie łapki, tj. ryjkiem je oblizywał.

Daleko zawilej przedstawia się półbóstwo szczura. W niektórych okolicach, np. w Pekinie nie uznają wcale szczura za świętego geniusza — mówią tu nie o „*Wu-ta-chia*”, tj. o „pięciu świętych rodzinach”, lecz tylko „*Ssu-hsien*”, tj. o „czterech geniuszach”. Szczur pentalogii zowie się „*po*” a nie „*shu*” albo „*lao-shu*”, jak go lud poprosto mianuje. Wyraz „*po*” da nam pewne wyjaśnienie. Wyraz ten „*po*” oznacza właściwie bobra. Znali go ongi dobrze starodawni szamanie północnych Chin, Mongolii i Mandżuryi. Bobry zamieszkują jeszcze dzisiaj w znacznej liczbie Syberyą i najbardziej na północ położone dzielnice Chin. Zręczność i biegłość bobra w budowie swych mieszkań kazaly wnosić o wielkiej jego inteligencji, która owym dawnym ludom pierwotnym musiała imponować. Porównaj np. stauowisko bobra w podaniach Indyan amerykańskich a więc także szamanistów. Być więc może, że część oddawaną pierwotnie bobrowi, z biegiem czasu przeszła na szczura, który także jest gryzoniem, daleko pospolitszym niż bóbr. Stąd „*szczur*” znalazł się w pentalogii.

Ale dodać muszę, że „*po*” oznacza jeszcze co innego. Według zapatrywań Chińczyka „*po*” oznacza duszę zwierzęcą, a wyraz „*hun*” duszę czyli ducha. „*Po*” jest wpływem żeńskiego, „*hun*” zaś męskiego pierwiastka starożytnej filozofii chińskiej. „*Hun*” po śmierci człowieka wstępuje wprost do nieba,

a „po“ idzie do ziemi i zostaje „strachem“, „druhem“ w bajkach, baśniach i podaniach o strachach.

Wszystkie zwierzęta, tworzące pentalogią, posiadają — jak powyżej powiedziałem — zdolność przybierania na się wszelkiej możliwej postaci i są nieśmiertelne. Wszelako nie jest im wrodzona natura geniusza czyli „hsien“; muszą ją dopiero zdobyć długo trwałą i ciężką pracą. Proces przemiany w geniusza jest nader powolny. Muszą przetrwać próbę czyli nowicyat, trwający około 550-600 lat wieszczych, zanim osiągną nieśmiertelność. „Rok wieszczy“ liczy atoli tylko 50 zwyczajnych dni ziemskich. Zatem okres próbny trwa dalego krócej, niż się wydaje, bo przeciętnie 76 lat ziemskich. Już w przeciągu tego czasu, gdy owa przemiana dosięgła pewnego stopnia, mogą owe demony, owe niby-duehy, niby geniusze opętać ludzi w podobny sposób jak np. dyabeł biblijny. — O tej zdrożności i niegodziwości mianowicie lisa, pomówimy poniżej cokolwiek obszerniej. Jest to właśnie jednym z ważniejszych punktów baśni lisiej u wschodnich Azyatów.

Gdy przemiana zwierzęcia w geniusza się dokonała, mogą wtedy zwierzęta, do pentalogii należące, przyjmować każdego czasu wszelką możliwą postać. Zupełnie to samo czynią w średnich wiekach „czarownice“ i czarnoksiężnicy“ — są to nazwy, które kościół nasz rzucił starym leśnym koboltom, dziwożonom, boginkom i t. d.

— „Zostać czarownicą“ w gruncie rzeczy nie jest niczem innym, jak tylko zapomocą wszelkich napojów czarodziejskich, których znajomość wymaga szczególniejszej roztropności, przyswoić sobie te własności i te przymioty, które posiadały kobolty, dziwożony, rusalki, topielce, nimfy leśne naszych starodawnych podań słowiańskich i germańskich.

Jeżeli okoliczności tego wymagają, przemienia się geniusz zwierzęcy w podeszłego, czeigodnego starca z długą siwą brodą. Chcąc atoli wyśmiać się i wydrwić z lubieżnika i ukarać go, przemienia się on wtedy piękną, dziewicę, uposażoną we wszelkie powaby i wdzięki ciała.

Sposoby, jakich używa lis, aby zostać geniuszem, trudy i mozoły, jakim w czasie próby musi się poddać, nie są nam biednych śmiertelnikom znane. Podług opowieści Chińczyków, którzy w tej sprawie mają jakieś wiadomości, powszechnie wierzą, że lis udaje się na wysoką, oddzielnie wznoszącą się górę. Tam

przebywa kilka lat odludnie i bierze tylko roślinny pokarm. Gdy słońce wejdzie ponad poziom, musi ustawicznie patrzeć w jego tarczę i kierować oczyma za niem aż do zachodu jego. Tak samo winien obserwować i tarczę księżyca.

Podczas tej obserwacji czy to tarczy słonecznej, czy też księżycowej lis powinien stać na tylnych nogach i to na najwyższym punkcie góry i oddychać głęboko. Po pewnym czasie nie potrzebuje już brać pokarmu. Gdy już nie czuje ani głodu, ani pragnienia, jest to oznaką, że proces przemiany odbywa się normalnie. Dopóki odczuwa jeszcze potrzebę snu, może spać tylko wtedy, gdy niema księżyca na niebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Weterynarya ludowa w Czechach. ¹⁾

Praktykujący na wsi weterynarz czeski dobrze wie, że lud wiejski ma często więcej zaufania do znachorek, owczarzy i pasterzy, niż do weterynarzy, a przyczyną tego jest rozszerzony nader zabobon i wiara w czary i uroki. Zasląbnie dobytek, szuka chłop czeski przyczyny choroby w tajnych siłach nadprzyrodzonych, w urokach, toteż nierad i rzadko woła weterynarza, a głównie używa swych domowych sposobów, których większość opiera się na wierzeniach przechodzących od jednego pokolenia do drugiego, zapewne jeszcze z doby pogaństwa. Lud wierzy dotąd w zgubny wpływ różnych tajemnych sił, czarów; wierzy, że można dobytek urzec, oczarować lub w inny sposób mu zaszkodzić, a kto by myślał, że wiara w czary w obec postępu oświaty w Czechach dawno zginęła, tenby mylił się, wielce, gdyż leczenie dobytku zapomocą zażęgnywań okadzań itp. sposobów jest i obecnie nader rozszerzone.

Leczeniem takim trudnią się stare kobiety, a głównie pasterze umiejący nie tylko leczyć zaczarowane bydło i ludzi, ale którzy także potrafią sami czary i uroki rznać. Jeśli krowa zaczarowana straci mleko lub daje krew zamiast niego, albo też ze śmietany nie można masła zrobić itp. w podobnych przypadkach używają znachorzy oprócz zażęgnywań, także różnych ro-

¹⁾ Dr. H. Mańkowski lek. wet. (III Zjazd lekarzy przyrod. czeskich w Pradze 1901. Spr.)

ślin i ziół, które się święci na Matkę Boską Zielną (15-tego sierpnia). Również jako leku i talizmanu używają t. n. strzałki piorunowej, (belemnity) który to szczątek kopalny w dobie przedhistorycznej służył ludziom jako broń, a nanizany na sznurek ku ozdobie.

Obecnie lud, który wierzy, że pioruny blaskiem swym podczas burz wbijają te kamienie głęboko w ziemię, skąd następnie wyrastają one na wierzch, przypisuje piorunowym strzałkom tajemną moc i siłę leczniczą i używa ich w tym celu, dotykając nimi chorych miejsc, pocierając stwardniałe wymię, martwe kostki, twarde guzy i nowotwory, przyczem znachor wymawia pewne zaklęcia i to tylko w pewnym oznaczonym czasie, mianowicie w czwartej kwadrze księżyca. Znachorzy używają strzałek piorunowych także w inny sposób, mianowicie rozpalają je w ogniu, następnie wrzucają do wody, którą dają pić choremu zwierzęciu, lub zeskrobiają albo ukruszają kawałeczek i również w poidle podają.

Najwięcej rozpowszechnioną jest wiara w uroki. Urok rzucić można tak na człowieka, jak i na zwierzę. Ze zwierząt najczęściej podlegają urokom konie, krowy i trzoda chlewna. Gdy bydlę ma zimne uszy, nie je, nie przeżnwa, jest rozdęte; koń, gdy ma bole, kopie i kładzie się na ziemi; krowa, gdy wskutek złej paszy nagle zasłabienie, wszystko to lud wiejski uważa za nroki, których jeśliby się nie odczyniło. wówczas zwierzę chudnie i wreszcie ginie.

Uroki rozmaicie znachorzy leczą: najlepiej działa „urocznik“ (*Anthyllis vulneraria*, Przelot zwyczajny) którym się zwierzę okadza; również używają oni i wody, którą obmywają chore zwierzę, naturalnie wymawiając przytem zaklęcia; wreszcie ściera się uroki przez obmywanie ócz lub też wykonywają rękoczyn polegający na tak zwanem zdarciu paskudnika, po czesku „rzezazanie nadoczniku“.

Te sposoby leczenia dobytku przez znachorów zdają się być resztkami dawnych obrzędów religijnych z doby pogaństwa, aczkolwiek nie wiadomo kiedy powstały i co pierwotnie one znaczyły.

Czytając pracę kol. Koudelki, z której powyżej sprawozdanie złożyłem, ma się tę smutną pociechę, że zabobon, który panuje wśród naszego ludu, panuje również i w Czechach, pomimo, że tam więcej szkół i lepszy dobrobyt, ba nawet miałem spo-

sobność stwierdzić, iż także w Szwajcaryi wśród ludu kwitnie on, i tam weterynarz musi z nim waleczyć, aczkolwiek dobrobytu chłopu szwajcarskiego nie można porównywać z dobrobytem chłopu nie tylko naszego, ale także czeskiego, więc gdzie przyczyna zabobonu? Czy w braku oświaty i nędzy, czy też gdzieindziej?

Rozmaitości.

Dramat rodzinny. W Kabylii, w gminie Takitunt, należącej do plemienia Babor zdarzył się tak dziwny wypadek, że czasopismo „Suisse“ tylko dla tego go ogłosiło, że miało pewność wiarygodność źródła.

Krajowcy algierscy czezą bociany w wielkim stopniu. nigdy ich niepokoją i pozwalają im zakładać gniazda, gdzie chcą, nawet w środku wsi, na dachach chałup, które zaledwie na 3 metry od ziemi się wznoszą. Oto raz para bocianów założyła gniazdo na kopule moszei, więc budynku bardzo świętego. Gdy więc jesień przyszła, a bociany z okolicy zebrały się do wspólnej wędrówki, nie mogła samica, wyż wspomnianego gniazda wziąć udziału w podróży, bo miała zranione skrzydło. Potem gdy samiec jej odleciał, pozostała ona w miejscu, i tak spoufaliła się z ludźmi, że wchodziła do chałup, żywiła się resztkami potraw, które jej litościwe ręce podawały. Tymczasem skrzydło się zgoiło i samica znów latała.

Przyszła wiosna, biedna bocianica zdradzała oznaki wielkiego niepokoju. Jednego dnia wleciała wysoko, zniżyła się wkrótce wyprzedzając jakoś parę bocianów, która na naszej moszei usiadła. Krajowcy są dobrymi spostrzegaczami, zaraz poznali, że to ten sam bocian z tamtego roku, który wynalazł sobie nową towarzyszkę i wcale nie troszczył się o opuszczoną. Ta nie zniosła łatwo krzywdy, i stoczyła z rywalką kilka bitek, w których jednak małżonek wcale nie interweniował.

Naprawiono tymczasem w zwykły sposób gniazdo i druga samica złożyła tam jaja. To było dla pierwszej już za wiele; rzuciła się jak wściekła na nią, pobiła jaja i wyrzuciła z gniazda. Teraz i obojętność niewiernego małżonka się skończyła, napadł na dawną małżonkę i ukarał ją srodze.

Był już dla niej straszny, stał się jej nieprzyjacielem. Czuliła ona to dobrze, i z rozpaczcy zadała sobie sama śmierć.

Niedaleko tego miejsca był piec garncarski, w którym ogień nigdy nie wygasal.

Bocianica wzbila się wysoko w powietrze, jak w owym dniu, kiedy taka niespodzianka ją ze strony małżonka trafiła i spuściła się nagle głową na dół, w płomienie ogniska i te ją wkrótce spaliły.

Gołąb pocztarek, jako szpieg. Austriackie ministerium wojny wydało rozporządzenia, które zakazuje wypuszczanie niemieckich gołębi w Austrii. Doszło do wiadomości ministerium, że około 1500 pocztarków ze Solingen, Elberfalem i Eschmeiler na dworcu w St. Pölten wypuszczone zostały. Ogólny departament wojenny we Wiedniu wystósował więc do wszystkich związków, opiekujących się pocztarkami okólnik, w którym zakazuje ze zasadniczych względów takich wzlotów obcych gołębi. Już pod 3 lata zakazały Prusy ze swej strony takich ćwiczeń dla prowincyi Brandenburgii. Wtedy prosił związek karlsbadzki o pozwolenie puszczenia gołębi u prezydenta tej prowincyi. Pozwolenia nie dano, chociaż ogólnie było znanem, że z Niemiec całe pociągi umyślnie z niemieckimi gołębiami do Austrii odchodziły i gołębie tam puszczano.

Wrogowie ptaków. Nad teatrem Espanol w Madrycie znajduje się sklep, w którego oknie wystawowem staje codziennie wielki półmisek ze stosem świeżo pieczonych ptaków.

Właściciel sklepu stał się przez sprzedaż tego przysmaku bogaczem, gdyż Madryt pochłania dziennie z ogromną chciwością kilka tysięcy ptaków. Niedawno zapytał ktoś kupca tego, ile też sprzedaje rocznie swego towaru.

— W zeszłym roku sprzedałem tylko 30.000 tuzinów.

Jeżeli się zważy, że jestto sklep pierwszorzędnny w tym kierunku i że takich sklepów istnieje mnóstwo, to można, śmiało twierdzić, iż mieszkańcy Madrytu pożerają rocznie około półtora miliona ptaków wszelkiego gatunku, między nimi są słowiki i skowronki, szczygły i drozdy — pliszki i makolągwy.

Nikt nie myśli o tem, że niszczenie tych po większej części bardzo pożytecznych ptaków przyniesie olbrzymią szkodę. W okolicy Madrytu nie można już dostać ptaka, tak że prawie wszystkie ptaki trzeba sprowadzać z prowincyi Estremadura.

O ten handel nie troszczy się żaden minister, żadna władza.

Tak samo rzeczy stoją z kuropatwami, i przepiórkami, które przez cały rok można kupować albo zabite albo żywe w klatkach, często bardzo młode, niewypierzone jeszcze ptaszęta.

Hiszpan jako wróg ptaków kroczy chyba na czele nieprzyjaciół ptasiego rodu. A i co do innych zwierząt nie jest lepszym.

Silnego byka, tak pożytecznego w rolnictwie, zmienia w dzikie zwierzę, które potem w arenie cyrkowej zamecza się wraz z końmi na śmierć. Spokojnego osła walą w Hiszpanii dopóty, dopóki nie wyda ostatniego technienia.

I Hiszpanie chcą jeszcze uchodzić za naród cywilizowany.

(Wiek nowy)